

Rubi Birden

NIE ODWRACAJ SIĘ
OD SŁOŃCA

Wiesz, to powinien być albo szczęśliwy, albo smutny dzień. Przejście na emeryturę. Cezura. Niektórzy zaczynają nowe życie, zapisują się na kurs malarstwa sztalugowego, jadą na wycieczkę do Chin, kupują sobie młodzieżowe ciuchy. Inni siadają w fotelu i latami czekają na śmierć. Ja nie czułam się ani szczęśliwa, ani smutna. Nie miałam planów na przyszłość. Odejście z pracy potraktowałam tak, jakby chodziło tylko o weekend. Nie byłam jeszcze taka stara, miałam pięćdziesiąt pięć lat, wyglądałam na czterdzieści. No, może na czterdzieści pięć. Ale czułam się, jakbym miała osiemdziesiąt. Chyba zresztą zawsze czułam się jak staruszka. Urządziliście mi pożegnalne przyjęcie. Były owoce, ciasto i jakieś obrzydliwe, słodkie wino, którego nie dało się wypić, pamiętasz? Ciasto zniknęło w zastraszającym tempie, jakby ludzie jedli, spiesząc się na pociąg. Kiedy wszyscy wyszli, wzięłam pod pachę pożegnalny prezent – gigantyczny zegar ścienny w złotej ramce (które z was to wymyśliło?) i wyszłam z instytutu. Stałam na schodkach. Trzymałam ręce w kieszeniach swoich nieśmiertelnych, zgniłozielonych sztruksowych spodni.

- Podwieźć cię? – zapytałeś.

Byłam zdziwiona tą nagłą próbą nawiązania kontaktu. Nigdy wcześniej nie odezwałeś się do mnie prywatnie. Odmówiłam. Staliśmy chwilę w ciszy, która z każdą sekundą stawała się coraz bardziej krępująca.

- No, to co? – chyba byłeś trochę zdenerwowany.

Chciałam powiedzieć coś głupiego, ale ugryzłam się w język. Byłam zaskoczona i poirytowana własnym zaskoczeniem.

– Do zobaczenia. – tak powiedziałam. „Do zobaczenia”.

*

Zachowałam się jak kretynka. „Do zobaczenia”? A cóż to do licha miało znaczyć? Gdzie niby mielibyśmy się spotkać? Bo przecież nie w poczekalni u dentysty. Absurd. Po co ludzie w ogóle mówią takie rzeczy? Byłam na siebie zła. Zegar tykał wściekle. Zatrzymałam się. Wyciągnęłam to чудо z pudełka. Było wielkości starodawnych zegarów na dworcach kolejowych. Ramka złociła się niemiłosiernie.

- Ty sukinsynu! – wyrwało mi się chyba dość głośno, bo chłopak myjący okno wystawowe zamarł na chwilę. Pewnie pomyślał, że jestem niezłą świruską, nie ma co. W sumie miałby rację, no bo kto normalny gada do zegara na ulicy.

„Jak można dać zegar komuś odchodzącemu na emeryturę? Żeby mu odmierzał czas do końca?” Zaczęłam rozglądać się za koszem na śmieci. Nie było mowy, żeby to zegarmistrzowskie monstrum zmieściło się do zwykłego ulicznego śmietnika. Na szczęście na chodniku stał wielki kontener do wywożenia gruzu. Wrzuciłam do niego zegar. Cykanie ustało. „Co za ulga! Boże, co ja wyczyniam, przecież zachowuję się dziś jak kompletna wariatka! To tylko emerytura, nie koniec świata. Rano miałam to gdzieś, a teraz zachowuję się jak świr. To wszystko przez ten zegar. Żadnego odliczania! Poprawiłam pasek torebki i ze stoickim spokojem zesłam na jezdnię. W niedozwolonym miejscu. Wprost pod koła czerwonego ford. Samochód zahamował z piskiem, zatrzymując się niecałe pół metra od moich kolan. Czas się zatrzymał. Nic się nie działo. Miałam wrażenie, że stoję tam już nie wiem ile. W głowie miałam kompletną pustkę.

- Ty głupia dziwko! Ty stara krowo! Popieprzyło cię?! Jak chcesz popełnić samobójstwo, kup sobie sznurek albo się otruj! – kierowca ford był już o krok ode mnie. Widziałam, jak jego ślina pryska na wszystkie strony. Rzuciłam się do ucieczki. Umilkł zaskoczony, ale parę

sekund później puścił kolejną wiąchę, która jeszcze dobitniej świadczyła o jego talencie oratorskim. Zatrzymałam się dopiero za rogiem. Serce waliło mi jak oszalałe. Kompletnie przestałam nad sobą panować i rozbeczałam się jak dziecko. Podeszła do mnie malutka staruszka i zapytała, czy coś się stało. Tylko pokręciłam głową. Przecież nie będę opowiadała obcej kobiecie na ulicy, że zmarnowałam sobie życie. Patrzyłam, jak się oddala, przygarbiona, ciągnąc za sobą wózek na zakupy. Chciałam pobiec za nią, zapytać o wszystko i powiedzieć wszystko...

„Muszę wziąć się w garść. Muszę wziąć się w garść. Muszę wziąć się w garść. Muszę wziąć się w garść” – kołatało mi w głowie. Nogi wciąż miałam jak z waty. Grawitacja była silniejsza niż zwykle. Ręce też ciężiej wisały wzdłuż ciała. Miałam wrażenie, że jeśli jeszcze chwilę postoję w miejscu, mięśnie oderwą się od kości i zsuną ze mnie jak skafander, zostawiając goły szkielet. Byłam zmęczona, tak strasznie zmęczona.

*

Kiedy znalazłam się na wysokości otwartych drzwi do pubu, weszłam prawie bezwiednie. W środku śmierdziało dymem papierosowym i przepoconymi skarpetami. Było pusto, tylko w kącie dwóch wstawionych gości próbowało grać w bilard. Zastanawiałam się, jak w ogóle są w stanie wcelować w bilę. Podeszłam do baru. Nie zdejmując torebki ani kurtki, wdrapałam się na stołek. Nogi dyndały mi w powietrzu.

- Podwójna whisky – przystojniaki w barach zawsze zamawiają podwójną whisky. Wypiłam jednym haustem. Moja matka drugi raz dostałaby zawału, gdyby to zobaczyła. Potem wypiliśmy jeszcze jedną podwójną. I jeszcze jedną. I nie ma co ukrywać, wstawiłam się koncertowo.

*

Jakoś dziwnie pierwszy raz w życiu klucz nie pasował do zamka. Upewniłam się, że trafiłam pod właściwy adres. Wszystko było w porządku. Mój dom. Moje drzwi. Mój klucz. Cholera, tylko ktoś wymienił zamki! Nie sądziłam, że otworzenie drzwi może być takie trudne. Już myślałam o tym, żeby wybić szybę, kiedy wreszcie udało mi się dostać do środka. Usiadłam na kanapie, oparłam się, odchylając głowę do tyłu. To nie był dobry pomysł. Sufit zaczął wirować, miałam wrażenie, że oczy dostały jakiejś płasawicy. Czym prędzej pochyliłam się do przodu, oparłam łokcie na kolanach, schowałam twarz w dłoniach. Przez moment było normalnie i już zdążyłam się ucieszyć, że udało mi się opanować niecodzienną sytuację, kiedy zaczął się sztorm. Bujało tak, jakby kanapa była łajbą na spienionych falach. Żołądek podszedł mi do gardła. Cudem zdążyłam do łazienki.

Kiedy się obudziłam, była czwarta rano. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że wcale nie leżę w łóżku, chociaż pamiętałam, że szłam do sypialni, tylko na kanapie w salonie. Do tego w butach i w ubraniu. Bolało mnie całe ciało, ale najgorszy był ból głowy. Zwlokłam się z kanapy i poszłam się do łóżka.

Kiedy się obudziłam drugi raz, dochodziło południe. Jakiś pies ujadął niemożliwie. Nastawiłam wodę na kawę i poszłam do łazienki. Pierwsza niespodzianka czekała w korytarzu. Na podłodze leżał obrazek w potraskanej ramie, dookoła wałały się kawałki szkła. W łazience było jeszcze ciekawiej. Cała podłoga była mokra, upstrzona fiołkami z lekarstwami. Uwalany rzygowiną ręcznik smętnie zwisał z grzejnika. Szczerze mówiąc byłam

przeżrana, bo jakoś nie przypominałam sobie, żebym lała wodę na posadzkę i rozrzucała zawartość apteczki. Dobrze, że tego nie widziałeś. Nie miałbyś o mnie zbyt dobrego zdania. Wypiłam kawę. Potem drugą. O zjedzeniu śniadania nie było nawet mowy. Po mniej więcej trzech godzinach byłam w stanie zabrać się za sprzątanie pobojuwiska w łazience. Zajęło mi to kolejne trzy godziny, bo ruchy miałam raczej kiepsko skoordynowane. Kiedy skończyłam, byłam porządnie głodna. Zrobiłam sobie kanapki z wędzonym indykiem, wypiliśmy szklankę mleka i śmiertelnie zmęczona położyłam się spać. Tak upłynęła mi pierwsza doba życia na emeryturze. Obciach jak nie wiem – starsza pani zalała się w trupa.

*

Co tu dużo mówić, James należał do tych ludzi, do których idealnie pasuje określenie „kawał wała”. James lubił tylko Jamesa. Nie potrafiłam go kochać. Urodziłam go, poświęciłam mu kawał życia, dbałam o niego, najlepiej jak umiałam, ale nie potrafiłam go kochać.

- Słyszałem, że przeszedł na wcześniejszą emeryturę - żadnego przywitania, żadnych wstępów. Głos w słuchawce mógł należeć wyłącznie do Jamesa. Serce wykonało mi salto w kierunku tchawicy. Skąd on zawsze wszystko wiedział?

- No, to chyba powinienem ci pogratulować? – już o sam sposób mówienia można było się pokaleczyć. - Wpadniemy do ciebie z Grace w przyszłym tygodniu.

Chciałam zaprotestować, ale było już za późno, usłyszałam tylko szczęk odkładanej słuchawki. Chciałam zadzwonić i powiedzieć, żeby nie przyjeżdżali, ale nie byłam w stanie zdobyć się na taki krok. Bałam się własnego syna. Przy Jamesie, paraliżował mnie taki sam strach, jak przy jego ojcu. Byli tacy sami. Tyle, że James był jeszcze bardziej okrutny. Kiedy był mały, pojechaliśmy na wieś na wakacje. Zabił tam kilkanaście małych kurcząt. Tych małych żółtych kuleczek, na widok których wszyscy się rozczulają. Kiedy zapytałam go, dlaczego to zrobił, powiedział: „Fajnie chrupało, kiedy ukręcałem im łebki”. Fajnie chrupały też deptane na chodniku ślimaki. Fajnie płonęły polane benzyną mrówki.

*

Tamtego dnia byłam w całkiem dobrym humorze. Spotkałam cię na spacerze. Pogadaliśmy chwilę, tym razem już jakoś swobodniej. Doszłam do wniosku, że jesteś całkiem miły. Wracałam zadowolona do domu. Mina mi zrzedła, kiedy zobaczyłam na podjeździe czarne porsche. Kiedy byłam kilkadziesiąt metrów od domu, drzwi samochodu otworzyły się i wysiadł James. Jak zwykle w jednym z tych swoich drogich garniturów i w wypastowanych na glanc butach. Nie wyszedł mi na spotkanie. Stał na szeroko rozstawionych nogach jak John Wayne i czekał. Miałam ochotę zrobić tylko jedno: odwrócić się na pięcie i uciec. Z samochodu wygramoliła się Grace.

- Gdzie byłaś? Szukaliśmy cię po całym mieście! Zwariowałaś?!

- Całkiem możliwe – starałam się, by zabrzmiało to nonszalancko.

Kiedy zapytałam, czy zrobić im kanapki, oboje zrobili taką minę, jakbym zaproponowała im zjedzenie zgniłej marchewki.

Potem James oprowadził Grace po domu. Tylko niby po co? Przecież już go widziała. Nie wiedziałam co jest grane, ale wyraźnie czułam, że coś tu śmierdzi. Nie podobało mi się to wszystko. Wcale mi się to nie podobało. Tylko dlaczego nie potrafiłam po prostu powiedzieć, że sobie nie życzę? Że to mój dom i nie mam ochoty na oprowadzanie po nim wycieczek. I że w ogóle nie gadzam się na żadne wizyty.

*

Zadzwoiłeś parę dni później. Zaprosiłeś mnie na koncert. Jazzowy! I ja się zgodziłam! Umówiłam się z obcym facetem. Może powinnam zadzwonić i odwołać spotkanie? O nie! – pomyślałam. Przecież nikt mi nie mówi, co mam robić. Mogę iść, gdzie chcę i z kim chcę. Rządy Raymonda skończyły się już dawno. Postanowiłam, że pójdę na ten koncert. A co!

W tej sytuacji został tylko jeden dylemat. W co się ubrać. Odwieczny dylemat samicy homo sapiens, które znalazły się w podobnej sytuacji. W ciągu paru minut zawartość szafy zaczęła kłębić się w kolorowych falach na łóżku. Szkoda, że tego nie widziałeś:

- To za poważne.
- To się nie nadaje.
- Zaplamione. Ale czym? Buraczki?
- Tu się nie dopina.
- Nie, nie, to nie.
- W tym wyglądam staro.
- To mnie pogrubia.
- Za lekkie na jesień.
- Do tego nie mam butów.
- Gdzie się podziała spódnica od tego kompletu?
- Ja mam taką bluzkę? Ja kupiłam coś takiego? Na pewno nie!
- To do siebie nie pasuje. A może z tym? Też źle.
- Jak na pogrzeb.

Sytuacja przedstawiała się beznadziejnie. Jak zwykle, na każdej szerokości geograficznej, przed każdą szafą otwieraną w podobnych okolicznościach. I skończyło się tym samym, co na każdej szerokości geograficznej. Zakupami.

*

Po koncercie siedzieliśmy przy butelce wina. Piłam bardzo ostrożnie, bo za dobrze pamiętałam swoje ostatnie występy. Prawie nie rozmawialiśmy, ale zawieszona między nami cisza nie była niezręczna. To była przyjazna cisza ludzi, którzy dobrze czują się w swoim towarzystwie i nie muszą ciągle paplać, żeby utrzymać się na powierzchni. Też tak czułeś? Po jakimś czasie zapytałeś, czy chcę już wracać do domu. Po co? Kto na mnie czekał w czterech ścianach? Kilka roślin doniczkowych? Podlewałam je zresztą rano, więc zapewne miały moją obecność, delikatnie mówiąc, gdzieś. Mogłam zostać.

Chciałeś, żebym ci o sobie opowiedziała. Pytałeś, co lubię, co mnie interesuje, czego się boję, jakie mam marzenia, co mnie śmieszy, co denerwuje... Dlaczego? Nikt nigdy nie zadawał mi takich pytań.

Znaliśmy się na dobrą sprawę parę godzin, a byłeś człowiekiem, który wiedział o mnie najwięcej na świecie.

I było mi z tym dobrze.

*

Nie wypadało mi zadzwonić do ciebie od razu nazajutrz, bo jak by to wyglądało? Postanowiłam odczekać ze dwa dni i dopiero wtedy do ciebie zadzwonić.

Ty nie miałeś takich skrupułów. Zadzwoniłeś koło południa.

- To ja. Jak się masz?

- Świetnie, a ty?
- Bardzo dobrze. Dziękuję za wspaniały wieczór.
- To ja dziękuję.

Tiu tiu, fiu fiu. Kontredans towarzyskich uprzejmości. Pełny Wersal.

No i zaprosiłam cię na kawę do domu. Bardzo chciałam cię poznać. Innych interesowało, co najwyżej, jakie mam zdanie na temat aborcji, aktualnego rządu czy smażenia konfitury z wiśni. Ty szukałeś czegoś więcej. Próbowaleś dotrzeć do prawdziwej Clare, o której zapomniałam już nawet ja sama.

*

Ten dom w całej swojej historii nie przeżył takiego sprzątania. Latałam ze ścierką jak opętana. Odkurzałam, myłam, polerowałam, ustawiałam, przestawiałam, poprawiałam w dzikim ferworze. Zupełnie jakby od tego zależało moje życie albo i losy całej galaktyki. Przestałam dopiero, kiedy kuchnia była sterylna jak sala operacyjna, a salon wyglądał jak ekspozycja w domu meblowym. A i tak mi się wydawało, że gdzieś czai się ogromny wstyd w postaci plamy wyschniętej wody w zlewozmywaku albo kłaczka kurzu pod ścianą.

Kiedy zbliżała się szósta, byłam już tak podekscytowana, że nie mogłam usiedzieć w miejscu. Zaczęłam chodzić dookoła stołu. Dwa okrążenia w lewo, trzy okrążenia w prawo, dwa okrążenia w lewo, trzy okrążenia w prawo. Wskazówki zegara stały w miejscu. Myślałam, że się zepsuł. Sprawdziłam. Chodził. Wyjrzałam przez okno. Szedł tylko jakiś chłopak z psem. Kolejna wycieczka wokół stołu. Tym razem trzy okrążenia w lewo, dwa w prawo. Spociły mi się dłonie. Poszłam do łazienki, umyłam ręce. Dwa razy. Tak dla pewności. Wróciłam do salonu. Spojrzałam na zegar. Nie było mnie trzy minuty! Kiedy wreszcie zadzwonił dzwonek, podskoczyłam jak oparzona.

A potem siedziałeś przy stole i patrzyłeś, jak miotam się po kuchni, która wyglądała jak dwie godziny po wstawieniu mebli. Przestawiałam coś bez sensu, wyjmowałam z szafek i chowałam z powrotem, otwierałam po kolei wszystkie drzwiczki, jakbym czegoś szukała i zamykałam je, nie wyjmując niczego. Pewnie strasznie cię to śmieszyło. Wreszcie nie wytrzymałeś. Kazałeś mi usiąść, a sam po prostu wzięłeś się za robienie kawy. Patrzyłam na twoje plecy. I miałam wrażenie jakby były w tej kuchni od zawsze.

*

Oprócz Shirley nie miałam znajomych. Raymond się o to postarał. Przeszkadzało mu, że spotykałam się z ludźmi. Gdyby mógł, najchętniej przykułby mnie łańcuchem do kaloryfera. Chciał całkowicie i niepodzielnie nade mną panować. Miał żonę, tak jak ma się buty, majtki czy zapalniczkę.

Ale teraz byłam taka szczęśliwa, że chciałam być jeszcze szczęśliwsza. Człowiek jest istotą niebywale pazerną na szczęście. Zadzwoniłam do Shirley. Chciałam podzielić się z nią moją radością. Chciałam opowiedzieć jej o tobie. O tym, że pierwszy raz w życiu naprawdę p o z n a ł a m człowieka. Że jest wspaniały. Że mamy sobie tyle do powiedzenia. Że dzielimy się wszystkim, każdym spostrzeżeniem, każdym wrażeniem. Że słuchamy razem muzyki. Że chodzimy do kina, do teatru i na koncerty. Że godzinami gadamy przez telefon. Że mamy tyle wspólnego. I że chyba się zakochałam...

- Clare!!! Cudnie, że dzwonicz! – głos Shirley był pełen entuzjazmu. – Co u ciebie?

Już zaczerpnęłam powietrza...

- Bo u mnie wspaniale! – tu zaczęła się opowieść o córce Shirley, która pracowała w jakiejś wielkiej kancelarii adwokackiej i właśnie dostała podwyżkę, awans i Bóg wie co jeszcze.

Historia córki płynnie przeszła w historię wnuczka, który był wspaniałym dzieckiem, uzdolnionym muzycznie, genialnym wręcz, któremu wycięto właśnie migdałki i jest z tego powodu bardzo biedny, ale się cieszy, bo lubi lody, a musi jeść dużo lodów. I tak dalej. Na koniec zostałam uraczona dokładnym opisem stanu zdrowia Shirley, który to stan był oczywiście fatalny, bo i serce, i nerki, i wątroba, i w ogóle wszystko bolało, puchło, migotało i kłuło. Do tego był załącznik w postaci odczytania ostatnich wyników badań, z analizą moczu włącznie. Czułam, że robi mi się niedobrze. Słuchawka wyrzucała z siebie słowa jak elektryczna szatkownica. No to się podzieliłam.

*

Było mi cudownie w twoich mocnych ramionach. Pachniałeś ciepłem, bezpieczeństwem, czekoladą i liśćmi dębu. Kołysaliśmy się w tańcu, odganiając smutki. Ukradkiem przesuwalam w palcach fałdę twojej koszuli. Jej delikatna szorstkość upewniała mnie, że nie śnię, że naprawdę istniejesz. Świat odpływał gdzieś daleko, nie było Raya, Jamesa ani Shirley i jej córki po awansie. Byliśmy tylko my. Mogłabym tak trwać i trwać.

*

Kiedyś miałam wspaniałe ciało. Jędrne, sprężyste, lekko umięśnione, powleczone gładką, opaloną skórą. Było obiektem pożądania wielu mężczyzn. Raymonda również. To dla tego ciała się ze mną ożenił. Matka zawsze mi powtarzała: „pamiętaj, jeśli od razu dasz mężczyźnie to, czego pragnie, nigdy nie będzie cię szanował”. Trzymałam to ciało dla Raya, na „po ślubie”. Żeby mnie szanował. Kiedy w noc poślubną brutalnie mnie zgwałcił, wstydziłam się o tym komukolwiek powiedzieć. Nawet własnej matce. A może zwłaszcza jej. Zresztą, kto by mi uwierzył? Ten przystojny, szarmancki, pełen uroku chłopak gwałcicielem własnej żony? Mnie samej też trudno było uwierzyć. Przecież tak mnie kochał! Tak o mnie zabiegał! Zawsze był dżentelmeński, otwierał przede mną drzwi, dawał mi swoją marynarkę, kiedy było zimno. Wszystkie koleżanki mi zazdrościły. Rodzice byli zachwyceni, że znalazłam taką świetną partię. Studiował prawo, pochodził z dobrego domu. Czegóż więcej chcieć? Ten sam Ray zgwałcił mnie, jak ostatnie bydło. Płakałam całą noc. Próbowalam go usprawiedliwić. Że może alkohol... Następnej nocy rozstałam się ze złudzeniami. Zostałam członkinią KKZZ – Klubu Kobiet Zaciskających Zęby. Co noc jednoczyłam się z milionami takich jak ja, brutalnie wgniatających w materac ciężarem spoconego, śmierdzącego piwem ciała swoich ślubnych lub nieślubnych. Stałam się kolejną milczącą męczennicą, potulnie dźwigającą swój krzyż. Dałam sobie odebrać prawo do szczęścia. Dałam sobie odebrać godność. W imię czego?

Na „szczęście” dla mnie, Raymond był prawdziwym myśliwym. Kiedy już coś zdobył, szybko przestawało go to interesować. Moje ciało, to piękne ciało, które chcieli posiadać wszyscy, było teraz jego własnością. Strach przesłaniający mi źrenice, kiedy się do mnie zbliżał, był jego znakiem, piętnem, które wypalił we mnie na całe życie. Byłam jego. Mógł poszukać nowych zdobyczy. Zresztą nie był nazbyt wybredny. Chodził na dziwki, dwa razy był oskarżony o molestowanie nieletnich, raz o gwałt na sprzątacze z kancelarii, w której pracował. Ale był wspaniałym prawnikiem i miał wspaniałych przyjaciół prawników. Czuł się całkowicie bezkarny. Zaokrąglony ciężą brzuch brzydził go. Po urodzeniu Jamesa egzekwował wypełnianie małżeńskich obowiązków coraz rzadziej. Był wtedy bardziej brutalny niż na początku. Bliskość? Miłość? Seks? Zwykły przejaw samczej dominacji.

*

Na początku wstydziłam się swojej nagości. Wstydziłam się swoich miękkich, rozciągniętych przez przyciąganie ziemskie piersi, wiotczającej skóry, pośladków nie tak jędrnych jak kiedyś. Twoje dłonie pełne akceptacji i czułości leczyły wszystkie moje kompleksy.

*

Któregoś dnia wróciłeś z pracy sporo później niż zwykle. Martwiłam się, że coś ci się stało.

- A bo wiesz... - powiedziałeś, - mamy nową dziewczynę w pracy. I odwoziłem ją do domu. W głowie zapaliła mi się żółta lampka. Jak to? Jakaś nowa, obca, a ty ją od razu do domu odwozisz? Ty? Coś tu nie gra. Postanowiłam się przyczaić i zobaczyć ile sam wychlapiesz.

- Ma na imię Helen. Jest bardzo sympatyczna.

Ciach! Szpila w serce.

- Od razu się zgadaliśmy, że chodziła do tej samej szkoły, co ja.

Ciach! Kolejna szpila.

- Tylko jest sporo młodsza, więc nie mieliśmy szans się poznać.

Ciach! Żółta lampka błyska ostrzegawczo.

- Od razu pokłóciliśmy się o Hegla.

Ciach! Ciach!

- Ma śliczne rude włosy.

Ciach! Ciach! Ciach! Ciach! Ciach! Ciach! Ciach! Lampka z żółtej zmieniła się na czerwoną.

Poczułam, jak serce kurczy mi się jak suszona śliwka, a razem z nim tętnica, zostawiając na szyi długi promień bólu. Byłam o ciebie tak zazdrosna, że mogłabym gołymi rękami zabić tę zdziwę, kimkolwiek ona była. Chciałeś, żebym pomogła ci w kuchni. Nie ruszyłam się z miejsca. Siedziałam przy stole i próbowałam wytrzeć palcem jakąś niewidzialną plamę. Gdyby myśli miały moc, leżałbyś tam zamrożony jak syberyjski mamut.

Próbowałeś mnie przeprosić. Że nie zadzwoniłeś. Nic z tego. Postanowiłam dać ci nauczkę.

Przepraszam...

*

Któregoś dnia w stosie ulotek reklamowych wyjętych ze skrzynki znalazłam elegancką, kremową kopertę. Nie było adresu zwrotnego. Otworzyłam list. W środku była tylko jedna kartka, z takiego samego kremowego papieru. Na środku strony widniało jedno zdanie napisane czarnym atramentem: „Zawiadamiam panią, iż brat mój, Raymond Denison, zmarł 31 stycznia, br.” Nie wiedziałam, co mam czuć. Siedziałam z kartką w rękach i czytałam w kółko to jedyne zdanie, kompletnie wyzuta z emocji. Po kilku minutach wstałam, otworzyłam szafę i z najciemniejszego zakamarka wyciągnęłam tekturowe pudło. Potem poszłam do kuchni, znalazłam w szafce największy garnek, jaki miałam. Wyniosłam to wszystko do ogródka i postawiłam na śniegu. Otworzyłam pudło. Było pełne papierów i zdjęć. Jeśli coś nosiło chociaż ślad Raya, podpalałam to i wrzucałam do garnka. Niektóre rzeczy darłam na drobne kawałeczki. Ogień radośnie przyjmował kolejne strzępy papieru. Płomienie wyskakiwały z garnka, jakby chciały mi wyrwać z rąk to, co już i tak do nich

należało. Razem z papierami, listami i zdjęciami paliłam ból, rozczarowania, samotność, rozpacz, łzy, cierpienie i brak szczęścia. Już nigdy nie będę się go bała.

Kiedy wróciłeś do domu, poinformowałam cię tylko, że trzeba będzie kupić nowy garnek do gotowania spaghetti.

*

Spaliłam wszystko, ale dalej czułam emocjonalną pustkę, jakby nic się nie wydarzyło. Wiedziałam, że Raymond nie żyje. Wiedziałam, że spaliłam wszystkie materialne dowody tego, że coś nas ze sobą łączyło. Wiedziałam, że już w żaden sposób mi nie zagraża, a mimo to, nie czułam ulgi. W głębi duszy przez wszystkie te lata czekałam na jego śmierć, łudząc się, że będzie moim wyzwoleniem. Raya nie było. Gdzieś daleko ziemia przygarniała jego ciało. Nie było jego listów, jego zdjęć, naszego aktu ślubu. A ulga nie nadchodziła. Próbowałam wywołać u siebie jakąś żywszą reakcję na to, co się stało, ale nic z tego nie wyszło. To, co miałam w sobie, było nijakie jak krochmal. Dopiero kiedy oglądaliśmy film po obiedzie, poryczałam się straszliwie. Nie wiedziałeś, dlaczego płaczę, ale nie odezwałeś się ani słowem. Tylko przytuliłeś mnie mocno. To mi było najbardziej potrzebne.

*

Któregoś dnia wyszłam po ciebie do pracy. Chciałam zrobić ci niespodziankę. Był taki piękny dzień. Czekałam na skwerku pod instytutem. Zobaczyłam cię, jak otwierałeś drzwi jakiejś kobiecie. Taki męski, taki szarmancki... Mój... Niestety, to, co zobaczyłam zaraz potem, zburzyło mój spokój. Staliście tak blisko siebie, za blisko, jak na mój gust! Rozmawialiście i ni z tego ni z owego ty ją przytuliłeś! Objąłeś tę rudą wywłokę tymi samymi ramionami, którymi jeszcze wczoraj przygarniałeś do siebie mnie! Patrzyłam na to i czułam jak ziemia pod stopami mięknie i ugina się jak guma. Miałam wrażenie, że za chwilę zapadnę się, że mnie pochłonie. A więc jednak. Kobiety powinny ufać swojej intuicji. Dlaczego kolejny raz dałam się omamić? Wszyscy faceci są tacy sami. Nielojalni. Niewierni. Niewarci funta kłaków. Myślałam, że jesteś inny? Na jakiej podstawie? Naiwniaczka. Dać się tak zrobić na szaro! I to w tym wieku! Nastolatki mają więcej rozsądku. Jak można być tak infantylnym i wierzyć w miłość na emeryturze? Czym prędzej dałam stamtąd nogę. Usiadłam na ławce w parku. Przyszła pora spojrzeć prawdzie w oczy. Dałam się nabrać na te oklepane chwytły. Ale koniec tego.

*

Bałam się, że kiedy wrócę do domu, ty już będziesz. To by mi odebrało pewność siebie. Ciebie nie było, za to na stole leżał liścik. Byłam pewna, że pożegnalny. Nie dość, że zdrajca, to jeszcze tchórz pozbawiony odwagi cywilnej. Ale ty napisałeś, że się martwisz i żebym w razie czego nie ruszała się już z domu, i że pojechałeś mnie szukać. Zamiast się uspokoić i ucieszyć wściekłam się jeszcze bardziej. Szczyt wszystkiego! Złapałam adapter i grzmotnęłam nim o podłogę. Obudowa pękła z trzaskiem. W parkiecie zostało trójkątne wgłębienie, jak ślad po dziobie jakiegoś wielkiego ptaszyska. Talerz slalomem potoczył się za kanapę. Potem połamałam na kolanie płyty. Jedną po drugiej. Na koniec wyciągnęłam z szafy walizkę i zaczęłam wrzucać do niej jak popadnie twoje rzeczy. Potem zaciągnęłam ją do kuchni. Wyrzucałam z szafek wszystko, co kupiłeś. Noże, obieraczki, otwieracze do wina, tarki, przyprawy. Nie zauważyłam, kiedy wszedłeś do domu.

- Wygraliśmy wycieczkę last minute do buszu? Czy na Grenlandię? Może dorzuć jeszcze puszki z groszkiem. Widziałem jak cwałowałaś spod instytutu. Ty złośnico-zazdrośnico. Helen, ta ruda, wyjeżdża do Japonii, przyszła się pożegnać. Jak to jest, że wy faceci potraficie być czasem tacy przenikliwi i domyślni? Ale rozbroiłeś mnie tym groszkiem kompletnie, to fakt. Poza tym tak się zmachałam, że złość mi przeszła. Pokazałam ci pobojuwisko. Adapter, płyty. Powiedziałeś, że jestem szkodnik, gorszy niż stonka, tornado i gradobicie. No jestem.

*

- Jakoś tu inaczej. Zmieniłaś zasłony? – Shirley wpadła, bo miała mnie po drodze do fryzjera. Pytanie zignorowałam, bo wiedziałam, że wcale nie była zainteresowana odpowiedzią. Myszkowałam po całym domu. Tylko czekałam, aż zaczniesz otwierać szafki i grzebać w koszu na brudy.

- A mówiłam ci, że wybieram się do Indii? Zresztą nie wiem, gdzie pojedziemy. Może do Chin? Tylko boję się, bo wiesz, tam wszędzie jest podobno straszna bieda. A co to za przyjemność oglądać bezdomnych? A poza tym nie wiadomo, co oni tam dają do jedzenia. Przecież nie wiesz, co ci podają. A może to pies? Albo wąż? Albo szczur?

- Zawsze można pójść na hamburgera. Wtedy na pewno wiesz, co jesz. – Byłam normalnie wkur... Jak jej mąż to wytrzymuje? Niektórzy ludzie powinni być brani żywcem do nieba.

- No tak. A właśnie. Mówiłam ci? Znowu skoczył mi cholesterol. Lekarz nie wie, dlaczego. A nie jadłam nic, co mogłoby mi zaszkodzić. Człowiek wszystkiego musi sobie odmawiać.

Tego nie jedz, tamtego nie jedz. Co to za życie. Ile bym dała za wielki kawał tortu z kremem! A mówiłam ci, że Florence, ta moja przyjaciółka, pamiętasz, opowiadałam ci o niej, znalazła sobie kochasia? Jakieś dwadzieścia lat młodszego od siebie. Kompletnie zwariowała na jego punkcie, mówię ci. Podobno jadą do Afryki. Na safari. Oczywiście ona płaci. Za godzinkę mam fryzjera. Cudownie, pogadamy sobie, tyle się nie widziałyśmy.

- Wiesz, co ci powiem, Shirley? Pogadałybyśmy sobie, gdyby nie jeden drobny problem. Z tobą się nie da gadać. Bo ty nikomu nie dajesz dojść do słowa.

Ha! Taka byłam asertywna! Żebyś widział, jak ruszała samochodem! Mało drażka skrzyni biegów nie urwała!

*

Kultura kulturą, koncerty koncertami, kino kinem, ale trzeba od czasu do czasu wybrać się gdzieś do przyrody. No tośmy urządzili, że pojedziemy do lasu, a przy okazji urządzimy sobie piknik na jakiejś polanie. Były oczywiście jajka na twardo i pieczony kurczak, bo jak wiadomo, bez tych dwóch rzeczy nie może obejść się żaden porządny piknik. W każdym razie ty tak twierdziłaś, ja pojęcie o piknikach miałam żadne. Jedzenia było tyle, że myślałam, że chcesz dokarmiać zwierzęta w lesie. Tylko jakie zwierzęta lubią pikle? Jeśli mam być szczerą, to bałam się trochę tego lasu. Bo jakbyśmy zabłądzili to zjadłyby nas mrówki. Albo dziki. Nie chciałam, żeby zjadły mnie dziki. Mrówki zresztą też. Ale uspokajałeś mnie, że na pewno się nie zgubimy, bo samce musiały nauczyć się wracać z polowania do swoich samic, więc mężczyźni mają świetną orientację w terenie. „Zdobycz ewolucyjna.” Tak to nazwałeś.

Nie żebym ci wypominała, ale zgubiliśmy się, że hej. Dobrze, że spotkaliśmy tych ludzi z psem, bo jeszcze pięć minut i niechybnie byś zobaczył mnie w stanie skrajnej hysterii. W drodze powrotnej złapała nas ulewa. Nigdy w życiu tak nie zmokłam! To wtedy się wszystko zaczęło...

*

W nocy miałam koszmarne sen. Wiedziałam, że muszę uciekać, chociaż nie wiedziałam, kto mnie goni. Byłam w twoim płaszczu zarzuconym na koszulę nocną. Była noc. W mokrym asfalcie odbijały się oślepiająco światła samochodów. Biegłam chodnikiem, potykając się o stosy książek piętrzące się na każdym kroku. Skręciłam w prawo i znalazłam się w ślepych zaułku. Potem nagle przeniosłam się na stację kolejową. Na ścianie wisiał zegar, dokładnie taki, jaki dostałam kiedy odchodziłam z instytutu. Podszedł do mnie jakiś mężczyzna i poprosił mnie, żebym się za niego modliła. Chciałam mu coś odpowiedzieć, ale poczułam, że ruszają mi się zęby. Wszystkie. Dotykałam ich językiem, a one wypadały. Wyplułam je na dłoń. Były białe, czyste, zdrowiutkie. Ustawiałam je w rzędkach na stoliku, według wielkości. Podeszłam do baru po coś do picia. Kiedy wróciłam, zębów nie było. Zobaczyłam, że staruszek pod oknem gra nimi sam ze sobą w szachy. Chciałam do niego podejść i poprosić, żeby mi je oddał. Zastanawiałam się, jak odróżnia czarne figury od białych. Wtedy zauważyłam, że połowa zębów jest zupełnie spróchniała, aż czarna.

*

Rzadko chorowałam, ale wycieczka do lasu i przemoknięcie do suchej nitki skończyło się poważnym przeziębieniem. Najpierw dostałam gorączki i rozbolało mnie gardło. Potem zgodnie dołączyły katar i kaszel. Wiem, że miałeś wyrzuty sumienia. Wyganiałeś mnie do lekarza. Przecież wiesz, jak ja nie znoszę lekarzy... Lekarz opukał mnie, ostukał, osłuchiwał i przepisał antybiotyki. Wziąłeś wtedy tydzień wolnego i opiekowałeś się mną jak dzieckiem. Nie pozwalałeś mi wstawać z łóżka, dbałeś, żebym miała przykryte plecy, żeby było mi wygodnie, gotowałeś rosółki, aplikowałeś wszystkie witaminy, aspiryny i syropy. Całkiem przyjemne było to chorowanie. Tylko kaszel mnie strasznie męczył, pamiętasz? Ale to nie twoja wina.

*

Bardzo lubiłam cię obserwować. Widok twoich pleców zapewniał mi poczucie bezpieczeństwa. Były szerokie, solidne, jak dębowy stół. Kiepskie porównanie. Nie jestem poetką. Znałam na pamięć każdy twój gest. Wiedziałam, jaki łuk zatacza twój łokieć, kiedy podnosisz do ust filiżankę z herbatą. Wiedziałam, jak przechylasz głowę, kiedy czekasz, aż naleśnik się usmaży. Wiedziałam, jak układasz ramiona, przeciągając się po poobiedniej drzemce. Te wszystkie proste, codzienne gesty budowały stabilność mojego świata. Bez nich, bez ciebie, wszystko by runęło, wiesz?

*

Pamiętasz nasze tulipany? Całe dni spędzałam w ogródku. Kopałam, pielęłam, sadziłam. Jeśli ktoś nie wierzy w Boga, powinien obejrzeć, powąchać i dotknąć kwiat tulipana. Przecież to skończona doskonałość.

*

Kiedyś ostrożnie zapytałeś mnie, co bym zrobiła, gdybyś poprosił, żebym za ciebie wyszła. Powiedziałam ci wtedy, że pewnie słońce ci przygrzało albo zaszkodziła ci sałatka z krewetek. I że byłam mężatką o raz za dużo. I że faceci zmieniają się po ślubie i że trudno powiedzieć, że na korzyść. Byłam głupia, wiesz? Gdyby to wszystko można było cofnąć... Przeżyć jeszcze raz...

*

Śniło mi się, że się dusiłam. Tak jakby ktoś wepchnął mi do gardła wielki gałgan. Chciałam sprawdzić, czy nie mam czegoś w ustach, ale nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam się ruszyć, chociaż nic mnie nie bolało. Chciałam krzyczeć, zawołać cię na pomoc, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Wiedziałam, że śpisz spokojnie tuż obok i nie mogłam dać ci żadnego znaku. Z trudem udało mi się otworzyć oczy. Widok przesłaniało mi coś, co wyglądało jak jedwabna chustka. To był kokon! Leżałam w ciasno uplecionym kokonie, który zupełnie mnie unieruchomił. Wiedziałam, że nitek wciąż przybywa, ale nie wiedziałam, kto je przędzie. Pomyślałam, że to może wielki pająk jak z filmu, który mnie złapał w pajęczynę. Byłam przerażona. Leżałam bezradna w zupełnej ciszy. Nagły przebłysk świadomości sprawił, że uzmysłowiłam sobie, że to moje własne ciało produkuje tę nić. Moje własne ciało, bez mojej wiedzy i zgody, skazało się na samozagładę.

Obudził mnie atak kaszlu.

*

Następnej nocy śniło mi się puste krzesło.

*

Patrzyłam na ciebie i przepelniała mnie bezbrzeżna czułość. Bez ciebie byłabym teraz zgorzkniałą emerytką, zamkniętą w czterech ścianach. A tak naprawdę, dopiero teraz zaczęłam żyć. To wszystko wcześniej, to była jakaś tragifarsa. Zresztą trudno powiedzieć, że ja w ogóle żyłam. Kto by pomyślał, że coś takiego może się człowiekowi przytrafić na starość. Mieszkalam sama tyle lat. I jakoś sobie radziłam. Jadłam sama, spałam sama i wcale nie było mi źle. Owszem, czasem dopadała mnie samotność i gryzła boleśnie jak pies, ale zdarzało się to raczej rzadko. A teraz nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że cię nie ma. Dlaczego tak często życie przynosi nam akurat to, czego boimy się najbardziej?

*

Czasem marudziłam, że jestem stara i pomarszczona. Drwiłeś wtedy ze mnie i mówiłeś, żebym zrobiła sobie operację plastyczną, to będę wyglądała lepiej. Jak tapicerowane krzesło. Łajdak.

*

Ciągle kaszlałam, więc zmusiłeś mnie, żebym zrobiła sobie badania. Nie chciałam, żebyś tam ze mną szedł. Siedziałam na korytarzu, czekając na wywołanie kliszy po rentgenie płuc. Obserwowałam tłumy przewalające się przez szpital. Zrobiło mi się żal młodego, przystojnego chłopaka, który jechał na wózku inwalidzkim. Miał nogę amputowaną powyżej kolana. Uśmiechnęłam się do niego. Rzucił mi nienawistne spojrzenie i pojechał dalej. Zrobiło mi się przykro.

Lekarz siedział za biurkiem nieruchomo jak mumia. Patrzyłam na jego splecione dłonie. Na palcach, między kostkami, miał kępki ryżych włosów, wyglądały jak skołtuniona sierść spaniela. Ohyda, mówię ci.

Na ścianie, po prawej stronie wisiała podświetlana tablica, do której przypięta była klisza z prześwietleniem. Rzuciłam okiem na zdjęcie. Rozbawiły mnie pałkowate żebra. Już odwracałam głowę, kiedy do mojego mózgu dotarło, że z tym zdjęciem jest coś nie tak. Na

prawym płucu było wyraźnie widać sporą jasną plamę. Lekarz zaczął coś do mnie mówić, ale go nie słuchałam. Wstałam z krzesła i podeszłam do tablicy. Już wiedziałam. Jeszcze nie padło to słowo, ale już wiedziałam. Bezmyślnie dotknęłam jasnej plamy.

- ...nowotwór – usłyszałam tuż za plecami.

To słowo spadło jak żelazna kurtyna i przedzieliło moje życie na dwie części. Na wszystko, co było do tej pory i na chorobę. Czułam jak świat gwałtownie uległ implozji. Byłam tylko ja i podświetlana tablica. Zapomniałam, że trzeba oddychać i zaczęło brakować mi powietrza. Lekarz wciąż do mnie mówił. Słyszałam jego głos, ale jak przez ścianę.

Docierał do mnie sens tylko niektórych słów.

Biopsję... operację... płuco... chemioterapię... naświetlania...

Zrozumiałam, że to wyrok. W tej samej chwili podjęłam decyzję, że nikomu o tym nie powiem. A już na pewno nie tobie.

*

A może powinnam zgodzić się na operację? Wycięliby mi płuco. Z jednym też można żyć. Jakiś czas. Na chemii. Na truciźnie, która może na jakiś czas powstrzyma rozwój choroby, ale zniszczy, wyjałowi mi organizm. Czytałam o tym. O nie, nie dam zrobić z siebie tysego potworka pozszywanego jak patchwork. Przecież i tak nie ma dla mnie nadziei. Po co to przedłużać? Rzygać jak kot po chemii? To nie dla mnie. W imię czego miałabym to robić? Przeżyłam już swoje. Gdybym miała małe dzieci, może bym się zastanawiała, ale tak? Byłeś ty. Ale ty byłeś dorosły. I lepiej dla ciebie, jeśli to wszystko szybko się skończy. Przecież nie będzie się mną opiekował. Zresztą, kiedy się dowiesz i tak na pewno odejdziesz. Znajdziesz sobie inną kobietę. Zdrową. I to jej będziesz gotował, z nią będziesz słuchał muzyki, jej będziesz mówił, że kochasz... - Tak myślałam, aż poczułam w sercu ukłucie bólu, które po chwili rozlało się w szarą obojętność. Zadzwoiłam do ciebie i poprosiłam, żebyś nie przyjeżdżał, żebyś spał u siebie. Nie zdziwiłeś się za bardzo, bo taki był między nami układ, że czasem chcieliśmy pobyć sami. Zapytałeś mnie o wyniki badań. Powiedziałam, że jeszcze nic nie wiem. Odkładając słuchawkę, poczułam ulgę odroczenia.

*

Ale jak to się stało? Przecież przez całe życie nie wypaliłam ani jednego papierosa! Ciągłe pisały, że rak płuc bierze się z palenia. Skąd wziął się u mnie? To jakaś pomyłka. Jakaś fatalna pomyłka! Miotalam się po domu jak pantera zamknięta w klatce. Byłam zrozpaczona, rozżalona i wściekła. Myślałam o tym, że może jednak powinnam ci powiedzieć. Nie, nie. To był zły pomysł. To wstyd powiedzieć „mam raka”. Tak wprost przyznać się, że coś z człowiekiem jest nie tak. Z drugiej strony to obrzydliwe. Takie zebranie o współczuciu. To moja choroba. Tylko moja. Nic nikomu nie powiem. Będę grała. Wszystko pozostanie tak, jak było. Jakby nic się nie stało.

Grałam. Udałam, że wszystko jest normalnie. Śmiałam się, żartowałam. Nawet więcej niż zwykle. Tylko czasem ten śmiech nagle się we mnie zaciął. Wydawało mi się, że świetnie sobie radzę, ale wiem, że widziałeś, że czasem zastęgałam z nożem w ręce i grzanką posmarowaną do połowy, zamyślona i nieobecna. Próbowaleś delikatnie pytać, co się dzieje, ale od razu zmieniałam temat.

Nie chciałam, żebyś mnie dotykał. Kiedy kładliśmy się do łóżka, odwracałam się plecami i udawałam, że zasypiam.

*

Tamtego popołudnia gotowałeś coś nowego, podśpiewywałeś wesoło, szatkowałeś zioła, wybijając nożem rytm . Na patelni smażyło się mięso. Czułam, że nie wytrzymam tego ani minuty dłużej. Ty tu sobie śpiewasz, a we mnie kwitnie śmierć. I tak po prostu wyrzuciłam cię z mojego domu, z mojego życia. Kazałam ci się wynieść. Natychmiast. To było okrutne. Ale chyba mniej okrutne niż pozwolenie ci na oglądanie mojego powolnego rozkładu. W każdym razie tak mi się wydawało. Wytarłeś ręce w ścierkę i wyszedłeś. Czułam się tak, jakbym już umarła. Nie byłam w stanie się ruszyć. Nie byłam w stanie płakać. To, co zrobiłam było najtrudniejszą, najstraszniejszą rzeczą w moim życiu.

Z otępienia wyrwał mnie gryzący czarny dym, wypełniający mieszkanie. Stałam i patrzyłam na bezkształtne kawałki spalonego mięsa. Byłam gotowa położyć rękę na patelni i zesmażyć ją na węgiel, byleby choć na chwilę przytłumić ten straszny ból, który rozdzierał mnie od środka.

(...)

Aby zamówić pełną wersję sztuki, napisz mail lub skorzystaj z formularza na stronie [www](http://www.rubi.pl).

Ze względu na szkodliwe programy adres e-mail został zapisany w pliku graficznym.

© **Rubi Birden**

www.rubi.pl

rubi@rubi.pl